GAZETA LITERACKA

DODATEK MIESIĘCZNY GAZETY NIEDZIELNEJ

NR 2 LONDYN, 15 PAŹDZIERNIKA 1950 ROK I

JAN BIELATOWICZ

O TWÓRCZOŚCI LITERACKIEJ

Twórczość literacka niestety nie jest pierwiastkiem; jest to chemiczny związek pozornie najbardziej sprzecznych pierwiastków: trudu i szczęścia, męki i radości, musu i swobody. Dlatego też pisać — najtrudniej jest pisarzowi. Pisarz nigdy nie tworzy „w natchnieniu". Jeśli pisze, to znaczy, że je przezwyciężył. Tworzenie literackie, to rodzenie: porywa, ale i przeraża. Jest to szczęście, do którego nie ma innej drogi, jak przez cierpienie.

Tworzenie, jest to tęsknota do kształtu. Wydobyć kształt z chaosu, znaleźć jeden ton w milionie, wybrać jedną z barw z całej palety przyrody — na każdy wyraz, każde połączenie słów, każde zdanie, to właśnie jest sztuka pisarska. Twórczość jest rodzeniem się kształtu. Istotą męki twórczej jest chyba to, że w bólu rodzenia twórca musi być równocześnie lekarzem - położnikiem wobec własnego dzieła.

Ani w naturze ani w twórczości duchowej nie ma samorództwa. Nie ma dzieła literackiego bez pisarza-artysty. Pisarstwa ani nabyć ani się nauczyć ani wyczytać nie można. Jest to dar Boży. Dlatego też ludzie i społeczeństwa, które nie są ciekawe swych twórców, bluźnią: nie są bowiem ciekawe darów Boga. Jeśli zaś twórców swych nie dostrzegają, nie grzeszą, bo ślepiec nie może grzeszyć wzrokiem.

Człowiek, obdarzony przez Boga zdolnością artystyczną dopókąd nie zacznie tworzyć, jest tylko artystą, ale nie twórcą. O twórcy decyduje dzieło. Nie ma twórczości artystycznej bez artysty. Nie ma jednak i twórcy bez twórczości artystycznej. Dzieło sztuki jest klasycznym przykładem powstawania z możności i aktu.

Artystów jest niepomiernie więcej, niż twórców. Są nimi wszystkie wrażliwe na piękno dusze, są nimi niektórzy krytycy (wśród nich zaś zdarzają się także i twórcy), są nimi wreszcie wszyscy ci niedoszli pisarze, którzy nie mogą się zdobyć na przekroczenie Rubikonu męki twórczej, na przemianę natchnienia w kształt.

Pisarz może nosić w sobie dzieło latami. Tworzy je wówczas, modeluje, kształtuje w wyobraźni, w umyśle, w sumieniu. To jest często najważniejsza część pracy pisarskiej. Bywają też dzieła które urodziły się przedwcześnie: brak im kształtu. Wydaje się, że taką jest większość współczesnej poezji.

Największym nieszczęściem sztuki pisarskiej jest powszechna umiejętność używania pisma. Za niedozwolone stosowanie sztuki medycznej lub prawnej państwa nakładają surowe kary. Korporacje rzemieślnicze i kupieckie ścigają i tępią niewyzwolonych majstrów i amatorów. Pisać natomiast wolno wszystkim. Toteż współczesna kultura literacka jest opanowana przez barbarzyńców, jak Rzym przez Wandalów. Barbarzyńcy rządzą dziś jej gustami i prawami. Zatem też i cena litertury maleje z dnia na dzień. Już od dawna literatura przestała być sztuką, a stała się zawodem. Pisarz, to człowiek „żyjący z pióra", a nie — jak kiedyś — prawodawca piękna.

Winni temu są również i ci pisarze, którzy literaturę sprzedali barbarzyńcom jak bracia Józefa. Ci, którzy czytają swoje wiersze w przerwach między tańcówkami, którzy „urozmaicają programy" festynów, podobnie jak kiedyś namydlone słupy z zawieszoną u góry wódką i kiełbasą, których nazwiska, jak dzwonki na czapce błazeńskiej, brzęczą na wszystkich łamach gazet, wszyscy handlarze słowa pięknego, wszyscy, którzy podnieceni zabawą gotowi nogi założyć za uszy i udawać wieczne pióra.

Jest to literatura piknikowa: śmiech co sekundę, erotyka w tempie i smaku piknikowym, kalendarz z dowcipami, makabryczna groteska. Literatura taka nie dba o kształt. Jej ambicją jest być jak balon nadęty wodorem i szybujący w niedzielne popołudnia w obłoki na oczach rozbawionych tłumów. Celem jej jest za wszelką cenę bawić.

Celem piękna nie jest jednak zabawa. Estetyka w najbardziej filozoficznym języku dziejów oznacza odczuwanie. Z trzech władz duszy: rozumu, woli i czucia ludzkość najhaniebniej sfałszowała tę ostatnią. Mianowicie pojęciem czucia objęto wszystkie poruszenia duszy, leżące poza granicami rozumu i woli. W ten sposób pomieszano przede wszystkim czucie z uczuciem, zmysł artystyczny z pożądaniem, twórczość z bezwładem i błotem zmysłów. Istotą zaś sztuki i twórczości estetycznej jest s u m i e n i e. Ani rozum ani wola nie posługują się instrumentem sumienia. Jest to bowiem jądro czucia. Jest to punkt ciężkości moralnej człowieka — niewyrozumowany, nienarzucony sobie, ale wyczuty.

Zadaniem współczesnej literatury jest przywrócić sztuce sumienie, odnowić królestwo sumienia w sztuce. Sztuka wyrasta z religii i jest najbliższa religii. Przez większą część dziejów ludzkich sztuka służyła wyłącznie religii. Dzieła sztuki religijnej są największymi tworami ludzkości. Nowe katedry powstać będą mogły dopiero wówczas, gdy ich budowniczowie poczną je wznosić tylko ku chwale Bożej.

(Przykładem strywializowania potężnej władzy duszy — czucia jest szkolarsko-filologiczna interpretacja artystycznego credo młodego Mickiewicza:

> Czucie i wiara silniej
> mówi do mnie,
> Niż mędrca szkiełko i oko.

Zestawienie czucia i wiary nie jest żadnym przypadkiem, lecz genialnym wyznaniem pojmowania twórczości pisarskiej. Nie ma ono nic wspólnego z rzekomą romantyką, fantastyką i zabobonnością poety.)

Literatura religijna nie polega oczywiście na hymnach ni liturgii. Religią bowiem jest każdy krok człowieka na ziemi. Wszystko co człowiek myśli, czyni i czuje jest w zgodzie lub niezgodzie z Bogiem. Bóg jest wszędzie i nie ma takich miejsc na ziemi ni w duszy, które by były wyłączone spod Bożej obecności. „Nie byłoby mnie, gdybym nie był w Tobie, z którego wszystko, przez którego wszystko, w którym wszystko" (Św. Augustyn). Jeśli tylko o tym twórca będzie pamiętał, każda jego twórczość będzie religijna. Będzie mieć sumienie.

Mogą — rzecz jasna — istnieć i istnieją dzieła bezbożne, dzieła bez sumienia, a mimo to dzieła sztuki. Zło i grzech są dopustem Boga. Że jednak bez religii nie może istnieć sztuka, tego dowodzi atmosfera bezbożnego komunizmu. Tam bowiem albo twórczość całkowicie wysycha albo tworzy sobie nowych bogów.

Sztuka jest poszukiwaniem Boga w stworzeniu. Wszelkie inne poszukiwania sztuki są próżne. „Oto są niebo i ziemia, wołają, że są stworzone; ulegają bowiem zmianom i przekształceniom. Cokolwiek zaś nie jest stworzone, a jednak jest, nie ma w sobie nic, czego by przedtem nie miało; a na tym polega zmiana i przybieranie nowych kształtów. Wołają również, że się same nie uczyniły: „Dlatego jesteśmy, ponieważ jesteśmy stworzone; nie było nas przeto, zanim zaczęłyśmy istnieć, byśmy się mogły same uczynić". A głosem mówiącym jest sama oczywistość. Ty więc, Panie, uczyniłeś je, który pięknym jesteś, bo i one są piękne; który dobry jesteś, bo i one są dobre; który jesteś, bo i one są. Jednak nie tak piękne są ani dobre ani tak są, jak Ty, Założycielu ich, z którym porównane, nie są ani piękne ani dobre ani są." (Św. Augustyn).

Jan Bielatowicz

KOREAŃSKA MATER DOLOROSA



Z Wystawy Sztuki Religijnej w Watykanie

Z. K.

W KWESTII FORMALNEJ

Redaktor zmarszczył się niechętnie, ujrzawszy niżej podpisanego (podpisaną) z pękiem papierów w garści.

— Czy znów historyjki z czasów okupacji niemieckiej?

— Owszem, tak.

— Wolałbym co innego. Czytelników to nie zaciekawia.

Niżej podpisany (podpisana) zmartwił się tym orzeczeniem nie tylko ze względu na stratę honorarium, lecz z przyczyn zasadniczych. I choć od opinii redaktora nie ma odwołania, postanowił (postanowiła) zwrócić się z zapytaniem wprost do zainteresowanych. Do Czytelników G. N.

Lojalnie trzeba wprzód stwierdzić, iż redaktor w swej niechęci nie był odosobniony. Wśród Polaków wielkobrytyjskich utrwaliło się przekonanie, że pewne tematy, acz dotyczące przeżyć dużych grup polskich, są nieciekawe, niemodne, nieaktualne. Tak jest z bogatą a dotychczas nie poruszoną dziedziną Oflagów, (o tym kiedy indziej szerzej), tak jest z krajem pod okupacją niemiecką. Stanisława Kuszelewska powiada, że męką nieznośną jest dla niej niemożliwość podzielenia się z czytelnikami brzemieniem przeżyć i doznań wojennych, niemożnością wynikającą z obojętności odbiorcy, równie doskonały pisarz, F. Goetel, woli w „Tyg. Ilustr." odgrzewać wypłowiałe wspomnienia z pierwszej wojny światowej, niż sięgnąć do niewątpliwie bogatej, a dobrze mu znanej skarbnicy dziejów „Stołówki Literackiej" na Pierackiego. Natomiast wszelkie, choć najbłahsze, opowiadanie dotyczące obozów rosyjskich, Wilna lub Lwowa, ma prawo obywatelstwa na łamach pism emigracyjnych i w uwadze Czytelników. Pierwszeństwo udzielane tym tematom jest wprawdzie uzasadnione chęcią zrównoważenia przymusowego milczenia, otaczającego je w kraju, nie należy jednak stwarzać monopolu.

Może też Czytelnicy poczuli się zniechęceni nadmiarem heroizmu, zawartego w pierwszej fali opisów Polski Podziemnej. Może nie umiano przedstawić należycie atmosfery, w której heroizm stawał się strawą codzienną? Może pojawiło się zbyt dużo przesadnych relacji walk partyzanckich? („żołnierz, co się nie chwalił" podobnie jak „szewc, który nie pijał", to zdaniem biskupa Krasickiego postacie, należące do krainy bajek). Ale w poniższych opowiadaniach nie będzie ani heroizmu ani wyczynów bojowych. Zamiarem autora (autorki) było przedstawienie codziennego życia pod okupacją niemiecką, powszedniego, upartego, bogatego zarówno w tragizm, jak w groteskę. Groteskę drepczącą niby błazen trop w trop za królewską chwilą wzniosłości.

Owo życie było życiem Narodu Polskiego. I to jest przeszłość. Przeszłość nie powrotna. Ostatni etap epoki, która zmarła. Nie epizod, lecz akord końcowy. Warszawa, którą czytelnicy G. N. znali i kochali, Warszawa Wazów, Sasów, Łazienek, Pałacu pod Blachą, Kilińskiego, Belwederczyków, Traugutta, Kostrzewskiego, Prusa, Sienkiewicza, Wedla. Towarzystwa Kredytowego, Gebethnera — nie istnieje. Skończyła się w chwili upadku Powstania, spłonęła dobrowolnie na stosie. Mniejsza o to, czy winniśmy ją za ten czyn potępiać, czy podziwiać. Fakt pozostaje faktem. Stara Warszawa umarła. Piękna, nowoczesna stolica, wzrastająca z gruzów jest nową Warszawą, wyrazicielką nowej epoki. Będzie niewątpliwie również bohaterską i wspaniałą, ale i n n ą. Nim ją poznamy, zali nie słuszna poświęcić nieco uwagi ostatnim dniom tamtej, dawnej, szczególnie że owe dni górne i szalone były niepodobne do żadnych innych na świecie?

DYKTATOR

Gdy przed wojną znajomi zapewniali Weronikę, że wystarczy ubezpieczyć mieszkanie, by unieszkodliwić złodziei, gdyż Towarzystwa Ubezpieczeń opłacają stały podatek Związkowi Włamywaczy, kobieta nie chciała wierzyć. Co za wymysł! Samo zestawienie solidnych instytucji asekuracyjnych z społecznym, nieuchwytnym elementem złodziejskim, wydawało się jej bluźniercze. Podobnie kategorycznie odmówiła wiary sławnej przygodzie majora Butrynia, choć ten ostatni nie miał opinii łgarza. A przygoda była następująca: majorostwo wyjeżdżali za granicę. Butrym kupował bilet w normalnym ścisku przy kasie, żona jego rozmawiała z odprowadzającymi ją adoratorami stojąc po zewnętrznej stronie barierki. Kasjer domagał się drobnych, Butrym prosił o nie żony. Majorowa nie dosłyszała zajęta rozmową. Butrym przechylił się przez poręcz, otworzył torebkę żony, wyjął portmonetkę z drobnymi, zapłacił, odszedł od okienka. U wejścia młody elegancki pan podał mu portfel. „Przepraszam, nie wiedziałem, że pan kolega", uchylił kapelusza i znikł w tłumie. Butrym stał zbaraniały patrząc na wręczony portfel. Jego własny, z pieniędzmi przeznaczonymi na dwumiesięczny pobyt na Riwierze! Skąd się wziął? Przecież ma go przy sobie... Sięgnął odruchowo do wewnętrznej kieszeni ubrania. Kieszeń była przecięta i pusta... Kiedy skradziono mu porfel? Dzięki czemu oddano? Zapewne sięgnięcie do torebki żony zostało mylnie pojęte? „Nie wiedziałem, że pan kolega..."

Te stare, nieprawdopodobne, gorszące historie przypomniały się Weronice teraz, w czwartym roku wojny, gdy komendant organizacji bojowej Wawer postanowił szukać kontaktu z królem, czy prezydentem złodziei.

Chodziło o torebkę łączniczki, Polci. Polcia wróciła przed chwilą do „bazy" zdesperowana, półżywa. Padła na krzesło i zaczęła histerycznie szlochać. Trzeba było pośpiesznie zamknąć okno, by jej ryków nie posłyszano na ulicy. Z bezładnych słów, przerywanych spazmami dorozumiano się, że po drodze na Śniadeckich skradziono jej w tramwaju torebkę.

Otoczenie odetchnęło.

— Wielka rzecz! Przecież w torebce nie miałaś nic trefnego,

— Miałem! Właśnie, że miałam!! Właśnie że... Zabijcie mnie! Boże! Boże!

Zachłystywała się płaczem, głową tłukła przepisowo o stół. Pomału wydobyto z niej straszną prawdę: Polcia przez pomyłkę wsunęła do konspiracyjnej kieszeni wszytej u dołu spódnicy, niewinne kartki chlebowe, a do torebki, w miejsce kartek, grypsy dostarczone z Pawiaka, mające być przez nią rozniesione nazajutrz. I tę torebkę z grypsami skradziono...

— Zabijcie mnie! Oddajcie mnie Gestapo! — powtarzała nieprzytomnie. Wzruszano ramionami, wiedząc dobrze, co spowodowało podobną omyłkę: przemęczenie. Człowiek przemęczony nie wie co robi. Trzy czwarte „w s y p" konspiracyjnych wynikało z przemęczenia. Zasadniczo każdy powinien był mieć co dwa tygodnie bodaj dobę odpoczynku, w praktyce jednak ludzi zawsze brakło, miłość własna nakazywała „trzymać fason" i nie przyznawać się do zmęczenia. Skutki nie dały na siebie czekać.

Tym razem mogły być one wyjątkowo groźne. W wypadku dostania się grypsów pawiackich w niepowołane ręce, „wpadali" więźniowie, którzy je pisali, i ci co mieli wiadomości otrzymać i ci, co z narażeniem życia wynieśli karteluszki poza obręb więzienia. Rwała się cała sieć. W najlepszym razie, jeśli złodziej grypsy zniszczy, zawarte w nich wskazówki dotyczące śledztwa, decydujące o życiu wielu ludzi, nie dotrą na czas do rąk adresatów...

— A może złodziej odniesie papiery? — błysnęła komuś nadzieja.

— Tam była kennkarta z fałszywym adresem... Na spalony dom... Zabijcie mnie! Zabijcie!...

W tym właśnie momencie nadszedł Roch i posłyszawszy, o co chodzi, postanowił szukać dojścia do samego szefa cechu złodziejskiego.

— Jest taki?

— Musi być, bo tam wszystko gra jak zegarek. Znam się ze złodziejami, bo oni rozlepiają nasze proklamacje. Morowcy są.

Cały dzień minął na poszukiwaniu kontaktu z „szefem". Dyktator okazywał się zakonspirowany ściśle i niedostępny. Na koniec jednak przyszła odpowiedź pomyślna: szef zgadzał się na spotkanie.

Wiedziono Rocha tak długo i zawile, przez tyle domów o podwójnych bramach i przejściach piwnicznych, iż na koniec szczerze nie wiedział, gdzie się znajduje. Mieszkanko było schludne, mieszczańskie, szef o wyglądzie solidnego rzemieślnika siedział nad kiełbasą z ogórkiem i wódką.

— Z Wawra? — mruknął pytająco.

— Z Wawra.

Podali sobie dłonie, szef wskazał krzesło, przysunął kiełbasę, bimber — Wawer dobra organizacja, — przyznał — ale faktycznie, czym mogę panu szanownemu służyć?

— Wczoraj, około piątej, w osiemnastce skradziono naszej łączniczce torebkę, w której miała grypsy z Pawiaka — objaśnił rzeczowo Roch.

Szef podniósł brwi zgorszony.

— Grypsy w torebce ?! Ładne macie łączniczki!

— To dzielna i sprytna dziewczyna, ale pomyliła się.

— Nie trzymałbym ani jednego dnia podobnej gęsi... A niby co ja mam na to poradzić? Nastręczyć wam lepszą łączniczkę?

— Myślę, że pan mógłby polecić zwrócenie torebki ze wszystkim, co w niej było...

— Faktycznie mógłbym, gdyby to nasi zrobili. Ale, panie szanowny, tu był najpewno amator, pieskie nasienie... Amatorów sam bym Niemcom oddał... Hołota bez pojęcia... Paskudzi zawód... Łobuzy!...

— Nie wiemy, czy to był amator...

— Owszem, bo jakby nasz, już by mi grypsy odnieśli...

— Może jednak pan zechce spróbować?

— Spróbuję, ale nic z tego nie będzie. Za amatorów nie odpowiadam. Napijemy się!

— Nie zaszkodzi.

— Pod Hitlera, żeby miał ciężkie skonanie...

— Byle prędko.

— Za zdrowie naszego Związku!

— Za zdrowie dobrych patriotów w Związku — zrektyfikował Roch.

— A czy u nas są inne? Jak złodziej, to już nie patriota, szanowny pan sobie wyobrażasz? W każdym fachu trafiają się gałgany, tylko od nas ani jeden do Niemców nie przystał... A pan szanowny w cywilu, chciałem powiedzieć po za konspiracją, jaki osobliwie ma zawód?

— Kapitan 5-go Palu...

— Fajno. Ale kiedy panu trzeba proklamacje na niemieckich urzędach rozlepić, to pan nie idziesz do dyrektora banku, tylko do złodzieja... Co?

— Ano, tak się składa...

Cóż będzie z torebką?

— Powiedziałem, że spróbuję. Przyjdź pan o 7 na przystanek na 6 Sierpnia naprzeciw szpitala i czekaj. Albo ci przyniosą albo nie. Jeśli do 7.15 nie będzie nikogo, możesz zawracać do domu.

— — — — — — — —

Roch ostentacyjnie zaczytywał się w „szmatławcu". Ślizgając po szpaltach niewidzącymi oczami myślał, że gdyby Niemcy byli cokolwiek sprytniejsi, aresztowaliby z punktu każdego trzymającego „gadzinówkę" w ręku. Polcia blada i roztrzęsiona stała obok; udawali, że się nie znają. Godzina naznaczona mijała, parę wozów przeszło, nikt nie nadchodził. Roch tracił nadzieję. Było już dziesięć po siódmej, gdy dwóch młodzieńców o przesadnie sportowym wyglądzie podeszło do czekających. Jeden zasłaniał chustką lewą stronę twarzy, drugi wysunął spod poły płaszcza torebkę...

— Moja! — pisnęła nieprzytomnie Polcia.

— Wolnego panusiu, wolnego... Sprawdzić, pokwitować prędko...

Otworzyli. Grypsy były na miejscu. Roch gryzmolił śpiesznie podziękowanie na kartce wydartej z notesu. Młodszy sportowiec osłaniający twarz chustką nachylił się ku niemu.

— Panie szanowny, — szepnął — na drugi raz nie tak ostro!... Mordę mi skuł... Uchylił chustki ukazując zapuchniętą twarz i krwawo podbite oko.

Z. K.

ELŻBIETA KRZYSKA

PAMIĘTNIK MATKI

Literatura pamiętnikowa o męczeństwie Polaków w Rosji sowieckiej jest już wcale bogata, ale nie ma ona granic, podobnie jak ludzkie cierpienie.

Rozpoczynamy druk nowego pamiętnika, który będzie się ukazywał w odcinkach „Gazety Literackiej" i „Gazety Niedzielnej" w obszernych wyjątkach.

Pamiętnik ten jest pisany sercem katolickim i dlatego może jest pierwszą opowieścią z Rosji nie o sobie, ale o istotach najbliższych i najdroższych. Jest to pamiętnik Matki.

Autorka zaczyna swój pamiętnik od opisu dni powrześniowych w przepełnionym uchodźcami Lwowie, o wzajemnej życzliwości i pomocy Polaków,ściśniętych w gościnnych mieszkaniach, o próbach wypraw do armii polskiej na obczyźnie poprzez granice i o rozpoczęciu masowych aresztowań i zsyłek wgłąb Rosji przez sowieckie władze okupacyjne.

ZSYŁKA

Wieczorem 28 czerwca zarządzono w mieście pogotowie lotnicze. Ciemność zupełna ogarnęła miasto a ja gorączkowo zabrałam się do zaciemniania okien pozostałymi z czasów wrześniowych czarnymi papierami. Cisza zaległa dom. Dzieciaki spały spokojnie. Wraz z nimi odpoczywały dwie panienki, Tosia i Władka, wraz z nami mieszkające we Lwowie. Mąż mój wybierał się na dyżur w zaciemnionych drzwiach kamienicy, w myśl obowiązujących przepisów. Trąbki szybko mknących samochodów niepokojącym zgrzytem przerywały panujący spokój, na ulicy coraz częściej słyszało się kroki patroli, wyjątkowo licznych tego wieczoru.

Zbliżała się godzina 12. Gwałtowny dzwonek do drzwi wejściowych odbił się złowróżbnym echem w naszych sercach. Tak — tym razem przyszli po nas — funkcjonariusz N. K. W. D., milicjant, 3 żołnierzy z karabinami, w towarzystwie zastraszonej dozorczyni, zacnej a rozumnej p. I. Po wstępnych tłumaczeniach dano nam 2 godziny czasu na zapakowanie się i przygotowanie do drogi. Poza naszą piątką wyjechać ma kuzyn mój Stan. Z., major W.P. oraz Tosia i Władka, które jako również nie — Lwowianki dobrowolnie się zgłosiły, woląc raczej wspólnie, niż gdzieś w innym transporcie znosić ciężką dolę.

Około godziny 3 nad ranem ulokowano nas w samochodzie ciężarowym, na naszych dość zresztą obfitych bagażach. Biedne, przerażone dzieci zasypywały nas pytaniami, dokąd jedziemy i po co. Ostatnie spojrzenia na dom — na pierwszym piętrze otwiera się okno, staje w nim serdeczny przyjaciel i współlokator, doktór Ch. kreśląc wielki krzyż w powietrzu. Cała droga na dworzec główny przypominała wielki kondukt pogrzebowy — co parę kroków spotykało się dorożki i furki chłopskie, wyładowane bagażem a za nimi podążające gromadki przerażonych, zapłakanych ludzi w 90 % biedoty żydowskiej. Od czasu do czasu mijały nas ciężarówki, takim samym wypełnione ładunkiem. Wraz z 30 innymi osobami wtłoczono nas do wagonu bydlęcego, ciemnego i niechlujnego. Zająwszy wraz z dziećmi jedną z górnych prycz i rozmieściwszy jako tako bagaże, zaczęliśmy rozglądać się po otoczeniu.

Towarzysze nasi, to wyłącznie Żydzi. Na pryczy obok nas kupiec 40-letni z 16-letnim synem, cały czas podróży spędzali na nieprzyjemnych dyskusjach i kłótniach — obok naszej pryczy, przy wejściu do wagonu, staruszek czeski Żyd, niegdyś pracownik biurowy; kożuszek jego i reszta garderoby roiły się od wszy, które w najbliższych już dniach i nas najdokładniej opanowały. Z drugiej strony skośnie umieszczona rura blaszana, wygięta nazewnątrz od góry, to wagonowa instytucja higieniczna. Za nią leżały na podłodze matka z córką, dwie jugosłowiańskie Żydówki, dalej młode małżeństwo, on prawnik, ona medyczka, oboje przesiąknięci do szpiku kości dialektyką i erudycją komunistyczną, której, nawiasem mówiąc, szybko się pozbyli w miarę dalszych doświadczeń. Pod drugą pryczą naprzeciw nas stara matka w łachmanach z dwoma córkami, narzeczony jednej oraz drugie młode małżeństwo. Na górze istne kłębowisko nóg i ciał ludzkich — Rozenberg, dorożkarz z Jarosławia z żoną, córką i synem; pamiętam wczesne ranki w wagonie, gdy wszyscy jeszcze spali — pierwsze blaski wschodzącego słońca rzucały przez maleńkie okienko skośne, złote promienie na rude roztargane włosy pani Rozenberg, siedzącej w kuczki, wśród bezwładnie leżących ciał i iskającej skrupulatnie całą rodzinną garderobę. Obok nich jeszcze jedna rodzina starsze małżeństwo z dwoma synami; co rano wszyscy trzej mężczyźni odziewali się kolejno w szaty rytualne i odprawiali długie modły. I wreszcie wtłoczona w tę gromadę tęga, rumiana, uczciwa i rzetelna twarz pani L., Ukrainki. Pani L. odrazu wzbudziła naszą sympatię, a i ona w trakcie podróży i późniejszego pobytu w uralskim osiedlu serdecznie się do nas przywiązała.

W tak załadowanym wagonie staliśmy na stacji lwowskiej przez cały dzień. Upał dokuczał nam bardzo, dzieci miejsca sobie znaleźć nie mogły. Mały Wojtuś dostał wysokiej gorączki, 6-letniej Annie wypadł pierwszy ząb mleczny. Wzdłuż wagonu przez długie jeszcze godziny ciągnęły niezliczone „kondukty" i ładowały się kolejno. W godzinach popołudniowych pojawiali się coraz częściej Lwowianie, stłumionym głosem wywołując różne nazwiska; szukali swoich, by ich jeszcze pożegnać lub coś wręczyć na drogę. Napisałam trzy karteczki do przyjaciół i ukradkiem wręczyłam przechodniom tak, żeby straż tego nie zauważyła. Jak się później okazało, wszystkie kartki natychmiast zostały oddane — i nas znajomi szukali wśród szeregu załadowanych pociągów, niestety jednak bezskutecznie. Kartki takie i listy pisałam i później i oddawałam przechodniom na postojach, już gdzieś w głębi Rosji — wszystkie doszły do rąk adresatów.

Wieczorem ruszyliśmy w nieznane, Lwów żegnał nas straszną ulewą i burzą, stary, rozklekotany wóz trząsł i trzeszczał niesamowicie. Miało się wrażenie, że lada chwila rozleci się w drzazgi. Minęliśmy Brody, liczne chmielniki w okolicach Dubna, Zdołbunów; pierwszy postój w Szepietówce, dawnej stacji granicznej, rozwiał nadzieję kuzyna Stasia, że tam jedynie nas wiozą. Przyszedł czas na rozważanie, co dalej.

PODRÓŻ

W czasie postoju w Szepietówce pierwszy, pobieżny przegląd współpasażerów wykazał, że w całym wielkim składzie transportu są niemal wyłącznie Żydzi. Chrześcijan na palcach można było policzyć, to samo w innych, spotykanych w drodze pociągach. Ktoś puścił plotkę, że Żydów wiezie się do republiki żydowskiej w Birobidżanie, położonej w pd.-wsch. Azji i słynnej z dobrych warunków życia. Ale co my tam robić mamy? A może nasze wywiezienie to pomyłka władz? Ostatnia iskierka nadziei błąkała się gdzieś w najtajniejszych myślach. Nie — to nie żaden mlekiem i miodem płynący Birobidżan, ale masowe wysiedlenie wszystkich niestale we Lwowie przebywających obywateli polskich. Mały procent Polaków tłumaczy się tym, że stosunkowo nieznaczny ich odsetek opuszczał tereny działań wojennych. Żydzi natomiast schronili się we Lwowie z obawy przed Hitlerem i tam też pozostali.

Droga nasza trwała około dwóch tygodni. Minęliśmy Homel, Orzeł, Briańsk, zachwycaliśmy się cudnym przejazdem przez Wołgę pod Kazaniem, bardzo długo staliśmy na bocznym torze w Swierdłowsku. Przez cały ten przeciąg czasu dwa razy tylko wypuszczono nas na 2 — 3 godziny na świeże powietrze — na jakichś niewiadomych, odległych łąkach. Początkowo dostawaliśmy chleb i trochę suchego prowiantu, kilka razy, przeważnie w nocy, przyniesiono nam zupę nieokreślonego bliżej składu i koloru. Dożywialiśmy się z własnych zapasów, dzieląc się z tymi, co ich nie mieli. Na każdym postoju pogoń i rozpaczliwe poszukiwania mleka dla małego Wojtusia. I jakoś zdobywało się je, nieraz narażając się na awantury i wymyślania ze strony władz transportu i ryzykując pozostanie na stacji. Często dokuczał nam brak wody do mycia, a nawet do picia; „kipiatok" był zawsze najpierwszym naszym marzeniem. Kipiatok, czyli wrzącą wodę dostać można normalnie na każdej stacji rosyjskiej; w braku herbaty jest ona najczęściej używanym napojem, nie tylko w czasie podróży, ale także w życiu normalnym.

Począwszy od Swierdłowska pociąg nasz coraz bardziej się zmniejszał; na różnych małych stacyjkach odczepiano po kilka wagonów i odsyłano na miejsca przeznaczenia. Długo kluczyliśmy po górskich, ubogich, uralskich szlakach — znowu długi postój na stacji Nowy Tagił i znowu dalsza droga — niewysokie góry — marne suchotnicze lasy o podszyciu brzozowym — żadnych prawie osad po drodze. Wreszcie stacja ostatnia — Paszija. Komendanci wagonów fasują chleb, śledzie, cukier i papierosy, poczym pada rozkaz wyładowania się. Po iście bohaterskich wysiłkach przenoszenia bagażu przez tory i całe zwały miału węglowego, wczesnym rankiem zajmujemy niewielką polanę między torami i zabudowaniami wsi. Tosia zemdlała z wycieńczenia, Władka przebiła sobie gwoździem nogę. Upał, pragnienie dokucza coraz bardziej. Obóz nasz otoczony patrolami. Otrzymujemy trochę wrzątku, nie wolno natomiast dochodzić do wsi, by zdobyć chociaż trochę mleka. Zabroniono również zapalania prymusów w celu zgotowania ciepłej strawy. Praktyczna Żydówka, towarzyszka z wagonu, wyciąga z tłomoków piecyk blaszany na węgielki drzewne, których pełno naokoło; ustawiamy się w kolejce i gotujemy kawę, która wielkim cieszy się powodzeniem.

Reszta dnia mija nam na zapoznawaniu się z towarzyszami niedoli, na wzajemnej pomocy i pogawędkach. Jest między nami rzemieślnik, szczotkarz z Łańcuta,. Korzystam z okazji, by zamówić u niego szczotkę do czyszczenia butów. Mąż mój gawędzi z jakimś panem o inteligentnym wyrazie twarzy, to adwokat F. z Krakowa, żona jego tymczasem pomaga pani A., żonie znanego przemysłowca krakowskiego w przygotowaniu pożywienia dla dzieci. Obok nas jakaś większa grupa rodzinna. Właśnie milicjant z krzykiem i groźbami zakazuje jednej z matek zgotowania buteleczki dla niemowlęcia.

Około godziny 10 wieczór zapakowujemy się w nieprawdopodobnym tłoku i zamieszaniu (przynależność rasowa naszych współtowarzyszy znakomicie wpływa na powiększenie ogólnego rwetesu), do kilku wagoników wąskotorowej kolejki węglowej. Kobiety z małymi dziećmi w wagonach osobowych, reszta na platformach lub w czarnych, dziurawych węglarkach. Trzydzieści kilometrów drogi zabrało nam całą noc. Jazda w natłoczonym wagoniku, to jedno z najstraszniejszych wspomnień z tego okresu. Jęki ciężko chorej kobiety rozlegały się bez przerwy, dzieci usypiające trzeba było cały czas podtrzymywać, by nie pospadały z skrawków ławek, na których udało nam się je ulokować. Reszta dzieci leżała na przejściu, pod ławkami, wszędzie, gdzie było choć kilka centymetrów wolnej przestrzeni.

ZBIORY GEOGRAFICZNE

W zbiorach londyńskiego Towarzystwa Geograficznego znajdują się m. in.: portret hr. Strzeleckiego, badacza Australii, dużych rozmiarów, w jednej z sal portretowych, w których odbywają się normalnie wystawy, szereg polskich atlasów w sali map i szereg czasopism i dzieł polskich geografów.

Po zniszczeniu przez bombę niemiecką zbiorów działu polskiego w British Museum w czasie ostatniej wojny, wymienione pozycje nabierają tym większej wagi.

Ł. S.

TOMASZ DOBROWOLSKI

JEST SŁOWO JEDNO...

Jest jedno słowo wytarte, zszargane,
Z tanich piosenek i marnych powieści,
Słowo zużyte, banalne, wyśmiane,
Fałszywe w brzmieniu i spaczone w treści.

Jest słowo jedno, które w noc majową
Chociaż raz w życiu odczuje dziewczyna,
Radosne, cudne, przepotężne słowo,
Co pustkę kończy i szczęście zaczyna.

Jest słowo jedno... na manowcach życia
Przyświeca jasno szukającym drogi,
Zespala dziecko z matką od powicia
I łączy dusze konających z Bogiem.

Jest słowo jedno pradawne, dostojne,
Które przebudza, ożywia i tworzy.
Pojmij je tylko...
A będziesz spokojny,
Że choćbyś zbłądził — zabłądzić nie możesz.

Tomasz Dobrowolski

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

LIST Z ARGENTYNY

KRAJ O SREBRNEJ NAZWIE

Herbem Argentyny jest wschodzące słońce, dwie uściśnięte dłonie, frygijska czapka wolności i laurowe liście na tle narodowych biało-niebieskich barw. Herb Argentyny jest więc symbolem braterstwa, wolności i chwały. Historia tego kraju, aczkolwiek szczupła w czasie, wykazuje, że Argentyna stara się zrealizować idee, usymbolizowane w swym godle narodowym. Ideę wolności rzucił na część kontynentu Ameryki Południowej największy Bohater Argentyny, gen. J. San Martin, uwalniając od hiszpańskiego panowania Argentynę, Chile i Peru. Ideę braterstwa realizuje państwo argentyńskie od zarania swego powstania, otwierając wstęp w swe granice olbrzymiej rzeszy przybyszów z Europy, w pierwszym rzędzie Hiszpanów i Włochów, którzy wraz z ludnością tubylczą stworzyli obecną ludność Argentyny. Idea braterstwa podniesiona jest całkowitą wolnością, jaką cieszą się tu ludzie wszelkich narodów i ras. Ghetto murzyńskie Stanów Zjednoczonych jest w Argentynie sprawą zupełnie nieznaną.

Argentyna jest krajem o wielkich ambicjach i o wielkiej przyszłości. Olbrzymia przestrzeń, wyposażona w doskonałe warunki rolniczo-hodowlane, obfitująca w bogactwa naturalne, Argentyna pod odpowiednim kierownictwem politycznym stać się może pierwszym państwem na terenie Ameryki Południowej, co w pewnej mierze zostało już osiągnięte.

Można zaobserwować, jak państwo to usilnie i wprost patetycznie dobija się do wielkości. Ma śmiałe zamierzenia. Ma wielkie idee. Na każdym kroku spotkać można się tu z patosem i prawie przesadą, co jednak w warunkach argetyńskich nie jest cechą złą. Patos razi Europejczyka. Słowa wielkie i wielkie idee straciły może swój sens, gdyż zbyt wiele cierpieliśmy z ich powodu i zbyt zdeprecjonowały się one w wieku kłamstwa i upadku człowieka, w jakim żyjemy. Argentyna nie zna wojny od lat 134, wolność jest tu rzeczą realną i słowo to ma znaczenie właściwe. Patos nie dotyczy tej wolności, lecz leży on w przesadnym widzeniu wielkości swego państwa, w przesadnym podkreślaniu „argentyńskości", przeradzającym się w szowinizm. Być może, iż patos ów pomaga do osiągnięcia śmiałych i szerokich zamierzeń Argentyny, być może, iż podtrzymywanie go w masach jest konieczne ze względu na to, że pewna część ludności Argentyny nie jest wyrobiona społecznie — fakt jednak istnienia owego patosu sprawia, że mimo dużej wolności i demokracji tego kraju — cudzoziemiec czuje się tu obco.

Polityka demograficzna Argentyny idzie po linii jak najszybszego asymilowania cudzoziemców, jak najszybszego zyskania większej liczby Argentyńczyków. Dlatego też narodowości asymilujące się wolno — są tu raczej niepożądane. Być może, iż w pewnym związku z tym pozostaje fakt obecnego milczenia w sprawie wiz dla Polaków. Jakkolwiek pewne posunięcia, zmierzające do przyśpieszenia asymilacji są rzeczą przykrą, to jednak ogólnie stwierdzić należy, że emigrant z Europy może tu swobodnie i dobrze żyć. Europejczyk jest tu synonimem dobrego i uczciwego pracownika. Emigranci polscy, nawet ci, którzy przybyli tu nie dawniej, jak przed rokiem, są na ogół zadowoleni z pracy i z tutejszego życia. Bo też przyznać trzeba, że robotnik w Argentynie jest prawie uprzywilejowany, a warunki życia, mimo nieco zaznaczającego się kryzysu gospodarczego, zupełnie znośne.

Dewizą obecnego rządu Argentyny jest stworzyć państwo społecznie sprawiedliwe, ekonomicznie samowystarczalne, politycznie niezależne. Jakże te trzy, zdawałoby się najprostsze warunki wielkiego państwa, dziwnie i obco brzmią w zestawieniu z jakimkolwiek państwem Europy! A jakże wprost groteskowo brzmi zestawienie słów „społecznie sprawiedliwe", gdy pomyślimy o tej części Europy, do której w sposób tragiczny została włączona Polska?

Idee argentyńskiego państwa na tle obecnego świata mogą stanowić więc zarzewie wiary w dobro. Z tego punktu widzenia jest Argentyna — jak jej srebrna nazwa — jasnym, lśniącym blaskiem amerykańskiego kontynentu.

Kościół polski

Mały kościółek przy ulicy Mansilla w Buenos Aires jest oddawna kościołem Polaków. Wchodzącego tam otoczy zaraz atmosfera polskiego kościoła, ten znajomy czar, bijący z obrazów znanych świętych, ten znajomy piękny śpiew i ten, zda się, jedyny dawny dźwięk sygnaturki. I coś jeszcze bardzo dziwnego otoczy człowieka: oto w śpiewie rozpoznajesz nagle polskie Godzinki i doznajesz prawie olśnienia: tak właśnie śpiewają w wiejskich kościołach, tak właśnie przetrwało tu od lat górne, wysokie zawodzenie kobiet i odpowiadający mu stanowczy i gruby bas męski. Te polskie Godzinki w środku obcego miasta są pełne uroku i wielkiej prawdy i wielkiego znaczenia wspólnoty. Owa wspólnota bije w niebo znanymi, jedynymi na świecie melodiami, gdy podczas nabożeństwa śpiewa je cały kościół.

Gdy przyjrzeć się bliżej ludziom, spotkać tam można dużo rzeczy dziwnych. Oto np. obok drobnej dziewczyny o włosach z lnu stoi metys, człowiek, którego rysy Indianina złagodził nieco przypływ krwi białych, ale który zachowuje w sobie egzotyzm przodków. Ten człowiek grubymi wargami śpiewa pieśń wraz z innymi. Z początku myślisz, że śpiewa tylko melodię. Ale uważnie przypatrzywszy się, dostrzec możesz, że grube wargi wymawiają słowa polskie. Wtedy ogarnia człowieka wzruszenie. Jest ono bardzo dziwne. Zawiera bowiem w sobie myśl o potędze krwi i myśl o jakiejś polskiej kobiecie, która to swoje dziecko Indianina nauczyła polskich słów i swej wiary. We wzruszeniu tym mieści się także i radość. Radość z tego, że oto ten człowiek z dawną indiańską krwią może tak stać obok białych i modlić się, a nie jest wypędzany do innego kościoła, kościoła dla czarnych — jak na Południu Stanów Zjednoczonych. Bowiem Argentyna jest mądra i jest sprawiedliwa. Dzięki tej mądrości właśnie stoi metys obok swej dziewczyny z włosami o blasku lnu i śpiewa polską pieśń żarliwie i mocno.

Nabożeństwa odprawiane są w kościółku na Mansilla długo, z namaszczeniem, jakby stary ksiądz pragnął, by wszyscy nasycili się tu wiarą i polskością na długi czas. Więc po skończonej Mszy św., po kazaniu, po adoracji jest jeszcze śpiewana litania przed ołtarzem Matki Boskiej Częstochowskiej, są jeszcze modlitwy, jeszcze pieśni. Po wyjściu z kościoła ludzie długo stoją przed bramą, rozmawiają grupami, szukają znajomych. I znów ma się wrażenie, że to z wiejskiego kościoła w Polsce wysypali się ludzie i starym zwyczajem prowadzą tu niedzielne rozmowy.

A potem, kiedy otoczy cię miasto obce i wielkie, chcesz jak najprędzej znaleźć się u siebie w domu, by przeżywać tamto złudzenie polskości, by nie dopuścić do siebie codziennego smutku obczyzny.



BUENOS AIRES

Słowa o wiośnie

Przy Avenida Alem jest mały skwer pełen drzew o drobnych, tajemniczo splątanych gałęziach. Gdy przechodziłam obok nich wczoraj — na każdej gałązce tkwił malutenki zielony pączek liścia, który mnie wzruszył. Marmurowy Mazzini podniósł się właśnie z krzesła i pochylony lekko nad placem chciał ludziom mówić coś ważnego.

Zdawało mi się, że mnie chciał powiadomić o wiośnie. Jakże byłam nierozumna! Tak, bowiem Mazzini potrafił mówić tylko o narodzie, dla idei narodu żył i o nim zapewne chciał teraz mówić przechodzącym ludziom, którzy mijali posąg, nie wiedząc kim był.

Ukradkowym ruchem zerwałam zielony pączek liścia. Delikatny i śliczny leżał na mojej dłoni i przypominał dzieciństwo, szczęście i szelest wieczornych brzóz. Zielona, senna jeszcze drobina liścia wydała mi się czymś tak bardzo nierealnym — a jednak przecież w niej oto leżała prawda o wiecznym odrodzeniu, wobec której człowiek jest pyłem. Nawet marmurowy posąg twórcy idei narodu, jakkolwiek wyrastał ponad plac — wobec odradzających się drzew i zapachu wrześniowego powietrza był tylko martwą dekoracją.

To była wiosna argentyńska, którą musiałam uznać w milczącym zachwycie i myśl o liściach opadających z drzew mego Kraju odsunąć ruchem porywczym, bowiem byłam już wygnańcem zniecierpliwionym.

Rozmowa z księżycem

O księżycu szczęśliwy,
co tułasz się nad moją
Wisłą —
zamień się ze mną na los,
zamień się ze mną na
wszystko.

Dać mogę tobie dwie ręce,
bo to mój cały majątek
i dwa wybrane wiersze
na srebrny początek.

— Cóż mi po wierszach —
rzecze księżyc —
co mi po dłoniach twoich
małych? —
Nim minę ziemię szlakiem
srebrnym,
Ty już powrócisz do Warszawy.

Józefa Radzymińska



EVITTA

STANISŁAW JANICKI

Z DZIEJÓW KULTURY POLSKIEJ

„SZUBRAWCY"

Sto pięćdziesiąt lat minęło od zniknięcia Rzeczypospolitej Babińskiej, gdy powstałe w Wilnie Towarzystwo Szubrawców (1817) przyjęło w spadku po niej dewizę: „ridendo castigare mores". Stworzone przez Imć Pana Sędziego Pszonkę w dobie renesansu urzędy, wzory znalazły godnych naśladowców wśród profesorów i wychowanków Uniwersytetu Wileńskiego. W okresie rozbiorowym nastąpiły wielkie przeobrażenia pojęć, a wśród najwyższych warstw społeczeństwa dawały się wyczuć pociągające tajemniczością wpływy masońskie, niezwykle modne w wieku oświecenia.

Nowopowstałe towarzystwo miało charakter wybitnie wolnomularski i słusznie było przez niektórych uważane za lożę. Kpiny z religii pojmowane były przez masonów za przejaw rozumu, nic więc dziwnego, że filary „Szubrawców", jak Jędrzej Śniadecki, Kontrym i wielu innych, w najlepszym razie byli do religii ustosunkowani obojętnie. Trzeba im jednak oddać sprawiedliwość że nigdy w pismach swoich nie zwalczali religii, ani też nie starali się wszczepić niewiary w młodzież, na którą mieli wpływ duży.

„Szubrawcy", w odróżnieniu od twórców „Babińskiej Rzeczypospolitej", mieli poważne i raczej smutne oblicze. Ich śmiech, to śmiech przez łzy, a nie beztroska, pijacka wesołość. Walczyli Szubrawcy z kołtunerią i przesądami, sarkazmem zdobywając wielu przyjaciół, ale więcej wrogów. T-stwo powstało głównie z inicjatywy Kazim. Kontryma, bibliotekarza Uniwersytetu i twórcy „Kodeksu Szubrawców". Pierwszym prezesem był dr Jakób Szymkiewicz z przydomkiem Perkunas, następnym Jędrzej Śniadecki- Sotwaras, który otrzymał godność dostojnika z przydomkiem Rej. Członkami byli: Leon Borowski (mówca i pierwszy wijajnik, z przydomkiem Pergrubnis), Ignacy Szydłowski (witajnik drugiego stopnia i dostojnik Gulbi), Antoni Gorecki, Ignacy Chodźko, Stanisław Worcell, Józef Sękowski, Tomasz Zan, Wawrzyniec Puttkamer.

Michał Baliński - Auszlawis, kronikarz Towarzystwa i autor „Mixtum Chaos, czyli Historia Szubrawców", tak pisze o początkach tej organizacji: „W roku 1817 kilku różnego zatrudnienia i stanu, ale czytać lubiących, wesołych z natury, zręcznych obserwatorów z nawyknienia, zaczęło w nieoznaczonych dniach, bez żadnego pewnego zamiaru, wydawać w Wilnie ulotne pisemko, a raczej świstek, mający tytuł „Brukowe Wiadomości". Czytano w nim żartobliwe uwagi nad teatrem miejscowym i nad autorami dramatycznymi, nad zapalonymi stronnikami nauki Mesmera, będącej naówczas w modzie, nad wielbicielami Bachusa i t.p. Kilka numerów takich świstków w chwili jednej rozkupione zostały. Publiczność, z upodobaniem znajdując w tym piśmie obrazy i wypadki, których była świadkiem codziennym, cieszyła się, że je pierwszy raz miała sobie wystawione wiernie, naturalnie, z prostotą do pojęcia wszystkich trafiającą. Piszący zatym wzięli z tąd pochop, przedsięwzięcie, z razu dorywcze, może własną tylko zabawę z razu na celu mające, rozszerzyć i dla nauki obyczajowej pożytecznym zrobić. Z tąd wynikły posiedzenia l i t e r a c k i e, na których stanowiono wydawać periodycznie i stałe pisemko tygodniowe, zostawując mu tenże sam tytuł „Wiadomości Brukowych". Wesołe grono piszących, rychło powiększone znaczną liczbą towarzyszów miejscowych i korespondentów z różnych stron, uznało za rzecz potrzebną przepisać sobie pewne prawidła postępowania i redakcję pisma udoskonalić. Przyjąwszy więc humorystyczne nazwisko Szubrawców, to jest skromnych i ubogich niejako w literackie zdolności i zasługi pisarzy, ułożyło sobie właściwy żartobliwemu swemu powołaniu kodeks i obrzędy. Czarownicza łopata, na której podług gminnych powieści rozmaite tajemnicze osoby latały ponad ziemią, zaglądając wszędzie, gdzie okiem zwyczajnym trudno było widzieć, ta łopata, jako powagi i rozmyślania znamię, a ogromny gąsior zdrowej wody, wstrzemięźliwości oznaka, były wybranymi godłami zgromadzenia. Wszelkie jego czynności i akta jawne były i drukowały się co tydzień. Cel ich otwarty do karcenia bronią żartu tej śmiesznej strony wad ludzkich i tych zdrożności, których prawa dosięgnąć nie mogą. Z wewnętrznego urządzenia tego grona piszących i z potrzeby ożywienia dobrego humoru i ochoty do ciągłej pracy, wynikły ustanowione w niem urzędy i dostojności. Na czele tego wszystkiego stał prezydent grona. Był zaś nim w rok po zaczęciu „Wiadomości Brukowych", przez cały ciąg wydawania tego pisma, Jędrzej Śniadecki, którego rzadki dowcip, powszechne poważanie, znajomość ludzi i nauk, słuszne mu do tego przodownictwa prawo nadały. Spełniał też je z powszechnym zadowoleniem i sam prócz tego, jako zarówno z innymi obowiązany do pisania z kolei, największej dostarczał artykułów i prawdziwie wzbogacił nimi skromne i ulotne pisemko".

Jędrzej Śniadecki pozostawił po sobie świetne satyryczne prace: „Próżniacko-filozoficzna podróż po bruku" i „Postrzeżenia włóczęgi Gulliwera, ogłoszone przez Bogumiła Uważnickiego, — szlachcica oszmiańskiego". Dowcipy Śniadeckiego były ogólnie znane. Razu pewnego, gdy go znajomy ziemianin zapytał złośliwie, czy syna będzie kształcił na doktora (medycyna była wówczas u szlachty w pogardzie), Śniadecki odpalił: „mój syn na doktora za głupi, ale niarszałkiem będzie dobrym".

Towarzystwo „Szubrawców" odegrało wielką rolę w podniesieniu moralności społeczeństwa i zbudzeniu go z umysłowego letargu. „Wiadomości Brukowe" walczyły z pijaństwem, próżniactwem szlachty, grą w karty, tytułomanią, sentymentalizmem kobiet i zmysłowością mężczyzn, głosząc, że człowiek nie czytający książek, nie może być uważany za obywatela światłego i zdatnego do sprawowania urzędów. Kodeks „Szubrawców" zawiera następujący i słuszny pogląd:

„Źle zrozumiana miłość narodowości, zależąca na tem, ażeby bez rozeznania chwalić to wszystko, co własne i dawne, a poczytywać za czernienie narodu, kiedy się wytykają przywary ogólne. Albowiem przywary są wszędzie, ale wytykanie ich znaczy, że je znają w kraju za przywary; pokrywanie zaś ich milczeniem dowodzi w nich upodobania i wstrętu do poprawy".

„Szubrawcy" występują szczególnie ostro w obronie chłopa, którego dola w ostatnich latach Rzeczypospolitej zaczęła się poprawiać, dzięki działalności ks. Brzostowskiego (Rzeczpospolita Pawłowska), Józefa Wybickiego, Zamoyskiego i ks. St. Poniatowskiego, ale bezpośrednio po rozbiorach stali się włościanie dosłownie niewolnikami. „Wiadomości Brukowe" zamieściły w jednym z numerów następujące

OGŁOSZENIE:

„Przybyli tu (do Wilna) z okolic Pińska wieśniacy, szukając niedzieli, żeby ją mogli Panu swemu pokazać, bo z tamtąd, nie wiedzieć dla jakiej przyczyny, tak jakoś zniknęła, że już jej od dawna żadnym sposobem zobaczyć nie mogą".

W artykule pt. „Machina do bicia chłopów" (Nr. 8 „Wiadomości Brukowych") czytamy:

„Łagodna namowa i przekonanie rozumu nie ma władzy nad pojęciem chłopa. Bić go trzeba, żeby czuł, bić do półśmierci, żeby naprowadzić go na drogę kierującej go woli, bić ustawicznie, żeby mieć zeń cokolwiek użytecznego: bić, bić, bić...

Zwyczaj jednak bicia sprawia dużo kłopotu, jęki chłopów rozdrażniają czułe żony i wywołują współczucie dla bitego. Niech każdy, kto ma czułe serce, przypomni sobie co kosztuje zdrowia kwadrans tak nieznośnych głosów. Zapobiega temu machina do bicia, która skraca czas i oszczędza serce. Z y s k a ł a b y n a t y m w y n a l a z k u s p r a w i e d l i w o ś ć, b o u w o l n i ł a b y s i ę o d n a t a r c z y w y c h p r ó ś b, b y j ą p o w s t r z y m a ć".

Nie wszystkim ziemianom podobały się artykuły, zamieszczane w „Wiadomościach Brukowych", a szczególnie te, które starały się brać w obronę chłopa, to też J. Łagiewnicki dla zwalczania „Szubrawców" począł wydawać „G ę b a c z a".

Towarzystwo „Szubrawców" miało duży wpływ na młodzież i z jego to grona wyszła myśl stworzenia organizacyj studenckich. Słusznie Dubiecki twierdzi, że „dłoń Kontryma, która rzuciła podwaliny stowarzyszenia literacko - moralnego „Szubrawców" pierwsza zaczęła jednoczyć młodzież".

Ignacy Domejko („Filareci i Filomaci") pisze o Filomatach: „Wszyscy bez wyjątku byli miłośnikami Lelewela i w stosunkach bliskich z Kontrymem, bibliotekarzem uniwersyteckim, człowiekiem bardzo zacnym, nieco gderą, kapryśnym i nieprzyjacielem szlachty, ale przystępnym dla wszystkich, ruchawym i wielkim budzicielem do pracowitości i oświaty". Wystarczy chociaż by wziąć „piętnaście prawideł Zgromadzenia Przyjaciół pożytecznej zabawy", aby zorientować się, że młodzież pisząc je, wzorowała się na „Kodeksie Szubrawców". Kontrym był podczas procesu Filomatów i Filaretów również pod śledztwem i szczególnie obciążały go zeznania prof. Bécu.

W trzeciej części „Dziadów" scena rozmowy prof. Bécu z Nowosilcowym dotyczy niewątpliwie Kontryma:

„Właśnie, ja miałem honor
mówić Jaśnie Panu,
Są tam ludzie różnego
i wieku i stanu;
To najniebezpieczniejsze
jest spisku symptoma.
A wszystkim rusza pewna
sprężyna kryjoma..."

* * *

Młodzież doby Mickiewicza, aczkolwiek korzystała z rad i doświadczenia starszych, jednak szła własną drogą. Odznaczała się ona głęboką religijnością i bezkompromisowością wobec zaborców.

Towarzystwo „Szubrawców" przetrwało (względnie powstało na nowo) do drugiej wojny światowej. Duszą jego był prof. Ferdynand Ruszczyc, znakomity malarz, przypuszczalnie należał tam Juliusz Osterwa i prof. Juliusz Kłos. Nietylko masońska tajemniczość, ale zdaje się brak członków powodowało, że Towarzystwo „Szubrawców", aczkolwiek istniało w wieku XX było zupełnie nieznane i żadnej już poważniejszej roli w Wilnie nie odegrało.

Stanisław Janicki



Rys. Andriolli

ROMANTYCZNI PRZYJACIELE

AUGUSTYN STEFFEN

ZAGADKOWA ZAPISKA KOPERNIKA

Niemały kłopot mają uczeni z pewnym zdaniem Mikołaja Kopernika, napisanym znakami alfabetu greckiego, które brzmi: „A l n o l i t h i n e a t i d M e l s a k o o k s e a m f o o t e r a B r o t h“. W taki sposób odczytał to zdanie prof. Curtze na podstawie nadesłanej mu fotokopii. Prof. L. A. Birkenmajer (Mikołaj Kopernik, I, 120), który dwa razy oglądał autograf, czyta nieco inaczej, mianowicie: „Alnolithine atidz Melsak ooksB amfootera Broth“.

Wymienione zdanie składa się z wyrazów i liczb. Wyrazami są „Alnolithine“, „Melsak“ i „amfootera“. Reszta to liczby, jak dowodzą znaki w postaci kresek, umieszczone pod zespołami liter: „atid“, „ookse“ i „Broth“.

Wyraz „Alnolithine“ jest greckim przekładem wyrazu „Allenstein“, nazwy Olsztyna w ustach niemieckich, głównego miasta Warmii, w którym Kopernik dwukrotnie sprawował urząd namiestnika. Wyraz ‚Melsak‘ jest nazwą Melzaku, małego miasta w pow. braniewskim. Wyraz ‚amfootera“(?) jest wyrazem greckim, który znaczyć ma „razem“. Pod zespołem znaków alfabetycznych ‚atid‘ kryje się liczba ‚1314‘, pod zespołem ‚ookse‘ liczba ‚865‘, pod zespołem ‚Broth‘ liczba ‚2179‘. Stosownie do tego prof. Curtze zdeszyfrował zdanie Astronoma w sposób następujący: „Allenstein 1314, Mehlsack 865, zusammen 2179“, co w przekładzie na język polski brzmi: „Olsztyn 1314, Melzak 865, razem 2179“.

Prof. Birkenmajer czytał ‚1317‘ zamiast ‚1314‘ oraz ‚862‘ zamiast ‚865‘, co wygląda na nieporozumienie. Rację ma prof. Curtze, gdyż liczba ‚2179‘ jest tu ponad wszelką wątpliwość podsumowaniem liczb poprzednich.

Uczeni poszli dalej. Twierdzą oni mianowicie, że zespołem znaków ‚Broth‘ Kopernik świadomie transliterował niemiecką nazwę dla chleba. Na tej podstawie prof. Curtze doszedł do wniosku, że słowa Astronoma prawdobodobnie są jakimś mnemotechnicznym figielkiem, wymyślonym przez niego w tym celu, aby przy pomocy wyrazu ‚Broth‘ (‚chleb‘) zapamiętać łatwiej liczby ‚1314‘ i ‚865‘.

Temu pomysłowi przeciwstawił swój pomysł prof. Birkenmajer, który pisze: ‚wygląda to raczej na jakąś grę słów: workowi z mąką (Mehlsack) nie daleko bowiem do chleba (Broth)...‘ i potem dodaje: ‚...wiemy dobrze skąd inąd, że wielki astronom przy wszystkich uczonych swych zajęciach znalazł czas, aby — siedząc na administratorstwie w Olsztynku (Allenstein) — zajmować się wypiekaniem chleba i w tej mierze ciekawe dwa dokumenty pozostawił“.

Również prof. Kazimierz Rouppert wierzy w ‚chleb kopernikowski‘, bo w ‚Gazecie Polskiej‘, która za naszej bytności wychodziła w Jerozolimie, tak pisze pod datą 19. 2. 42: ‚(Kopernik) pisze ‚Broth‘ wreszcie, bo nieraz, gospodarząc na Olsztynku, wypiekiem chleba się zajmował“.

Przyznam się, że nie widzę związku między wypiekiem a niemiecką nazwą dla chleba. Co ma piernik do wiatraka? Czy fakt, że Astronom interesował się wypiekiem chleba, można uważać za dowód, że niemiecka nazwa dla chleba stała się dla niego ważnym wyrazem? Dlaczego Kopernik w związku z tym zajęciem miałby się posługiwać słownictwem niemieckim? Przecież wiadomo, że pisał po łacinie.

Ponadto wypada mi zwrócić uwagę na drugi moment, moment ważniejszy, od którego językoznawcy zaczynają, gdy chcą robić hipotezy na podstawie materiału wyrazowego. Kopernik, gdyby miał napisać niemiecką nazwę dla chleba, nie napisałby „Broth“, bo byłoby to wbrew zwyczajowi, natomiast napisałby „Brodt“, jak pisał w tych stronach w pierwszej połowie XVI w. autor katechizmu pruskiego, lub „Brott“, jak pisał w tym samym czasie autor kroniki pruskiej Grunau, którego wykształcenie nie było zbyt wielkie, lub „Brot“, co w tym czasie obowiązywało (por. st.-wys.-niem. „brot“ śr.-wys.-niem. „brot“, starosas. „brod“, fryz. „brod“, fryz. „brad“ — wszystko z długą samogłoską, itd.).

„Workowi z mąką nie daleko do chleba (Broth)... „Tym workiem z mąką według Birkenmajera ma być nazwa „Melsak“. Ale według mojego poczucia wyraz „Mehlsack“ to nie „worek z mąką“, lecz „worek na mąkę“ (jest różnica między „drei Mehlsäcke“ i „drei Säcke Mehl“), a takiemu workowi przecież „daleko“ do chleba.

Wszystko przemawia za tym, że nazwa „Melsak“ nazwa nie niemiecka ale bałtycka, wymawiana w XIV w. jak „Malcekuke“ („Malcekuke..., quod sonat teutonice „mazag“), nie kojarzyła się w świadomości Kopernika nawet z „workiem na mąkę“, w przeciwnym razie, jak sądzić można według nazwy „Alnolithine“, przetłumaczyłby ją na język grecki. Zamiast „Melsak“ napisałby może „Aleurosakine“ czy „Koilaras“, jak by to zrobił współczesny jemu Grek. Faktem jest, że przełożył drugi składnik nazwy Olsztyna „—stein“, zaś nazwy „Melsak“ nie przełożył, a tylko ją transliterował, co powinno było zastanowić uczonych.

Sprawa wymienionego autografu Kopernika jest, jak widzimy, mniej skomplikowana. Tego, co uczeni widzą w autografie, prawdopodobnie nie widział jego autor. Nie myślał on o „kamuflażu“ niemieckiego wyrazu dla chleba, ani o figielku mnemotechnicznym, jak przypuszcza Curtze, ani wreszcie o przysłowiu czy powiedzeniu przysłowiowym, co sugeruje Birkenmajer. Zapisał dla pamięci jakieś cyfry z Olsztyna i Melzaku łącznie z cyfrą, jaką otrzymał z ich podsumowania.

Co te cyfry „1314“ i „865“ wyrażają, niepodobna jasno określić, tyle tylko można powiedzieć, że pierwsza odnosi się do Olsztyna a druga do Melzaku. Prof. Curtze skłonny jest widzieć w tych liczbach daty wybudowania kościołów, co zupełnie nie przekonywuje, bo wprawdzie liczbę „1314“ można zestawiać (ale nie identyfikować!) z datą wybudowania kościoła w Olsztynie (1315), lecz cyfra „865“, jako data wybudowania kościoła w Melzaku, zupełnie nie pasuje, gdyż wiadomo, że w tym czasie nie było kościołów w naszych stronach.

Sądzę, że liczby „1314“ i „865“ miały jakieś znaczenie dla administracji, którą Kopernik się zajmował. Prawdopodobnie kryją się w nich dane ludnościowe z obu miast w roku dokonania zapiski przez Kopernika. Dane bowiem statystyczne wykazują, że aż do wojny prusko-francuskiej (1870-1) liczba mieszkańców tych miast odpowiada mniej więcej stosunkowi cyfr, występujących w autografie Kopernika. Później Melzak został w tyle. Przed wojną miasto to liczyło przeszło 4 tys. mieszkańców a Olsztyn przeszło 40 tys.

Oczywiście jest to domysł, za którego trafność piszący te słowa nie chciałby ręczyć głową, bo hipoteza, że Astronom miał na myśli tylko mieszkańców wyznania katolickiego, mogłaby mieć równe szanse.

Augustyn Steffen

JAN WEPSIĘĆ

PANTEIZM SPINOZY

Najbardziej oryginalnym obok Kartezjusza filozofem XVII stulecia był Baruch (Benedykt) Spinoza (1632-1677), syn portugalskich Żydów, którzy w Holandii szukali schronienia przed prześladowaniem.

Podobnie jak Sokrates, był to typ myśliciela, który więcej cenił niezależność myślenia, niż dobra materialne, czy wyróżnienia osobiste. Z tego względu nie przyjął nigdy ofiarowanej mu pomocy materialnej ani stanowiska.

Spinoza jest pierwszym wielkim myślicielem czasów nowożytnych, który stoi poza systemami religijnymi. Nie jest ani protestantem ani katolikiem, ani chrześcijaninem ani żydem. Odrzucił wszelki autorytet, zostawiając jedynie rozum, który miał być narzędziem, umożliwiającym wzorowe życie i poprawne filozofowanie.

Jak dla Kartezjusza, tak i dla niego ideałem ścisłości była matematyka. Ten urok matematyki był tak wielki, że Spinoza posłużył się matematycznym sposobem rozumowania, kiedy w dziele p.t. „Etyka“ wykładał swój system filozoficzny (Ethica — modo geometrico demonstrata).

System filozoficzny Spinozy jest próbą rozwiązania problemu stosunku Boga i świata, duszy i materii. Kartezjańskie rozwiązanie tych problemów nie zadowoliło Spinozy. Jego zdaniem nie może być dwu substancji, lecz tylko jedna. Wynika to z samej definicji (określenia) substancji, pojętej jako nieograniczona. Nieograniczoność jednej substancji wyklucza istnienie drugiej substancji. Jeśli istnieje tylko jedna substancja, to jest ona również niestworzona, czyli jest Bogiem. Bóg i substancja, to tylko dwie różne nazwy na jedyną substancję.

W konsekwencji zajęcia takiego stanowiska zagadnienie stworzenia nie mogło powstać w filozofii Spinozy. Cokolwiek bowiem istnieje, to tylko pewne ujawnienie się nam tej samej substancji, tj. Boga. Innymi słowy: przez utożsamienie Boga i substancji, tj. wprowadzenie panteistycznej jedności — zniknął dualizm Boga i świata.

W podobny sposób chciał Spinoza uniknąć dualizmu: duszy i ciała, ducha i materii. Ducha i materii nie uważał za dwie substancje, lecz jedynie za przymioty tej samej substancji. Nie są to jedyne jej przymioty. Bóg, owa natura rodząca (— natura naturans) posiada nieskończenie wiele przymiotów, ale umysłowi ludzkiemu są dostępne tylko dwa: duch i materia. Można by popularnie powiedzieć, że duch i materia — to według Spinozy dwa punkty widzenia tej samej substancji.

Uznając materię i ducha za przymioty substancji ułatwił sobie Spinoza wyjaśnienie stosunku, jaki zachodzi między zjawiskami duchowymi i fizycznymi. Jakikolwiek schemat, wyjaśniający wzajemne oddziaływanie zjawisk omawianych rodzajów, był już niepotrzebny, skoro zjawiska te są jako przymioty uwarunkowane jedyną substancją. Ta w codziennym języku stwierdzana zależność zjawisk — to nic innego jak ujawnianie się tego samego porządku w dwu różnych przymiotach.

Problem wolności i konieczności (determinizmu) stanął i przed Spinozą. Spinoza wykluczył wolność, odrzucił celowościowe pojmowanie przyrody, wybrał determinizm. We wszechświecie objawia się życie Boże. Ewolucja świata jest podległa prawom życia Bożego i dlatego ściśle określona. Możliwe jest tylko to, co się dzieje. Cokolwiek dzieje się, nie jest dziełem przypadku ani wolności. Przyroda jest wielkim mechanizmem.

Czyny ludzkie są również wytworem konieczności, nie są więc wolne. Nie można dlatego potępiać człowieka za jego czyny. Wśród czynów są takie, których celem jest zachowanie natury ludzkiej i które rodzą się z natury działającego człowieka, a nie są wywołane na skutek działania otaczających nas rzeczy. Takie czyny są naturalne, słuszne.

* * *

System Spinozy można by krótko określić jako racjonalistycznie pojęty, panteistyczny (Bóg i przyroda - to to samo), deterministyczny (wykluczający wolność) monizm.

Jan Wepsięć

CZY ISTNIEJE LITERATURA KATOLICKA?

W ciągu ostatnich lat dwudziestu powstało wiele utworów literackich, tak dalece przesiąkniętych problematyką katolicką i posiadających pewną wspólnotę nie tylko ideowo-treściową, ale i strukturalną, że poczęło się coraz wyraźniej mówić o „literaturze katolickiej“ jako o osobnym dziale twórczości piśmienniczej.

Kryteria jednakże tego wyodrębnienia nie były do tej pory określone. Próbuje je podjąć w bardzo poważnej pracy, ogłoszonej w 3 nrze tegorocznego krakowskiego „Znaku“ Stefania Skwarczyńska, wybitna polonistka w pracy p.t. „Literatura katolicka jako termin w nauce o literaturze“.

Najpierw negatywnie odrzuca autorka pojęcie literatury katolickiej, opartej na 1) osobie autora i jego przynależności do Kościoła katolickiego, 2) przeznaczeniu społecznym dla odbiorców-katolików, 3) zawartości i dynamizmie ideologicznym utworu. Te wszystkie warunki nie decydują, czy utwór należy do piśmiennictwa katolickiego, czy nie.

Do literatury katolickiej natomiast należą wszystkie dzieła literackie, których „treści wynikają z oparcia o katolicką teorię rzeczywistości“. Stefania Skwarczyńska dowodzi, że dzisiejsze postulaty badań literackich wymagają od dzieła literackiego osadzenia w skonkretyzowanej teorii rzeczywistości, która może być albo marksistowsko-dialektyczna, albo magiczna albo idealistyczna albo katolicko-realistyczna itd. Istnieć może tyle rodzajów literatury pięknej, ile istnieje teorii rzeczywistości, które są konstrukcyjnym kręgosłupem czy rusztowaniem każdego dzieła.

Literatura katolicka zatem, to literatura oparta o zasady nauki Kościoła katolickiego.

O SŁOWACKIM I KNIAŹNINIE

Kwartalnik poświęcony studiom nad Wschodn. Europą pt. „The Slavonic and East European Review“, wydawany przez Londyńską Szkołę Słowiańskich i Wschodnio - Europejskich Studiów przy Uniwersytecie Londyńskim, przynosi w numerze 71, vol. XXVIII z kwietnia 1950 r. dwa artykuły polskich autorów, a to: Wacława Lednickiego, prof. uniwersytetu w Kalifornii o prozie Puszkina (część II) oraz Jerzego Pietrkiewicza, lektora języka polskiego w S. S. E. E. S., pt. ‚Collins i Kniaźnin‘ oraz artykuł prof. literatury polskiej na Uniwersytecie w Brukseli, Claude Backvis‘a, o pozycji Słowackiego w polskim dramacie.

Numer objętości ok. 300 stron, w języku angielskim, zawiera szereg tytułów i cytat w jęz. polskim.

W zestawieniu książek nadesłanych mamy również kilka tytułów książek polskich. W n-rze zamieszczone jest pożegnanie jego wydawcy prof. Williama Rose z czytelnikami. Prof. Rose współpracował z pismem przez 15 lat.

KAMILA LELIWA

RÓŻANIEC

Różaniec trzeba umieć odmawiać.

.Różaniec to nie modlitwa, którą wyszepcze się gorący mi nawet wargami, przebierając coraz to szybciej paciorki Zdrowasiek, ale wyszepcze bezmyślnie, bo uwaga skupiona przed chwilą na Tajemnicy, już pierzcha przed monotonnością słów się powtarzających. Różaniec to modlitwa serdecznego skupienia — na chwilę, na jedną — po to tylko, by myśl złapaną i zatrzymaną, trzepoczącą się jak ptak w rękę ujęty, wypuścić nagle śmiało, kierując na jedną z najpiękniejszych fantazji:

Jak to było?

— Anioł Pański zwiastował Najświętszej Marii Pannie...

...i był dom biały, płaski, obszerny. Nagrzany ciepłem, zatulony w ciszy pachnącej pękami oleandrów. Oleandry były białe. I zapewne już i w ten czas pasiflory pięły się po murze i jaszczurki zielone przebiegały zygzakiem i palmy pyłem pokryte prostowały się sztywno w niebo. Dalekie i błękitne...

...w domu tym św. Anna mieszkała. Gospodarna była, krzątliwa, w rękach jej dom rósł, rozszerzał się, błogosławieństwo Boże przez ręce te przenikało na sługi, na ciągnące sznurem wielbłądy, na stada owiec, na dzbany mleka pełne, na studnie w chłodzie chowane, na ziarno złote i ziarno srebrne, aż hen, daleko...

Matka Matki Jezusowej...

...w domu tym oto, dnia jednego, porą ponoś wieczorną, gdy Maryja pokłon Najwyższemu składała...

— — — — — — — —

Naprzeciw dyżurny drzwi otworzył. Słychać było: ktoś płakał.

— — — — — — — —

I Tajemnica Druga: Nawiedzenie św. Elżbiety...

...ileż prostoty radosnej, radości jasnej, ileż łaski wiary musiało być w tej wędrówce wśród skwaru południa i ranków, wśród chłodów wieczorów głębokich błękitem, jak miąższ gęstym. Pył drobny na ścieżkach, siwe opuncje, iglaste agawy... Karawany wielbłądów, bukłaki zroszone, wory, wiązy, palankiny i mijający ich cisi, radośni, w sobie skupieni, Maria na osiołku, Józef pobok idący... Boga w sercach nieśli...

— — — — — — — —

Tam i spowrotem chodził dyżurny. Raz, dwa, trzy, cztery — zatrzymał się — raz, dwa, trzy, cztery...

— — — — — — — —

Elżbieta w górach mieszkała.

Zapewne ranki przynosiły ciepłe wiewy od kamieni czarniawych, skał szarych i białych, a gdy słońce chyliło się za góry, napływał od gór wiatr lekki, przynosił zapach cedrów, traw nagrzanych, zapach najmądrzejszego z drzew świata — figowego drzewa.

Przynosił ochłodę.

— — — — — — — —

—Aaa! — ziewnął co sił w pijanej piersi, komandir, obok na piętnastce.

Rano go przyprowadzili, teraz się obudził i do okna podszedł. Kwasu z ogórków mu się zachciało.

— Idy ad akna! — buczał dyżurny. .

— — — — — — — —

...a potem to powitanie na drodze i Elżbieta w prochu klęcząca i Maria wzruszona, przejęta, wielka ponad ludzką miarę, w pokorze mówiąca:

— Wielbij, duszo moja, Pana...

— — — — — — — —

...i Narodzenie w tej obórce skalistej, tam u podnóża góry, w noc roziskrzoną, brylantową, noc złotem i srebrem na niebie pisaną...

— — — — — — — —

— Ratunku, ratunku!!! — z głębi niewidocznych piwnic nie krzyczał, ale piał jakiś głos strachem śmierci czy męki ogarnięty.

— Ratunku...! — i urwał nagle.

Cisza zawisła nad podwórzami.Nawet dyżurny wstrzymał kroki.

Cisza.

Jedna sekunda, dwie. Nic.

— Święta Mario, Matko Boża...

Raz, dwa, trzy cztery — zatrzymał się odsunął okienko. Patrzy. Raz dwa, trzy...

— — — — — — — —

...i Ofiarowanie w owej świątyni złotej i purpurowej, świątyni mądrej, władnej, bezwzględnej twardym prawem Mojżeszowym...

Ofiarowanie...

— Armię Polską składamy Ci, Panie...

Prawda! Intencje!

— By dzieci w wojnie pogubione... By dzieci nasze własne...

— I jakeś Go Najświętsza Panno w świątyni odnalazła...

— Ojcze nasz...

— Zdrowaś Mario, łaski pełna...

— — — — — — — —

— Pojdziosz ili niet! — i klucz zgrzytnął. Ktoś z kimś się kłócił. Prędko, po rosyjsku.

— — — — — — — —

...Pan z Tobą, błogosławionaś...

Ktoś wszedł. Prędko. Obaj z dyżurnym zatrzymali się pod naszymi drzwiami, serca załomotały, oczy w drzwi się wpiły. Już? Nie. Ten ktoś zawrócił. To nie po nas...

— — — — — — — —

Część Różańca Bolesna. Tajemnica Druga. Biczowanie.

...na intencję tego polskiego żołnierza na siódemce, racz przyjąć, Panie...

— Ojcze nasz...

...Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą...

Z korytarza dochodził rechot dyżurnych i krzyki siódemki. Potem krzyk jego nagły, jeden, bardzo bolesny... Cisza... i ryk potworny.

Usta bezszelestnie już się poruszały. Słowa przywarły do warg i cofnęły w serce. Oczy mimo woli zwróciły w stronę drzwi i na drzwiach tych zostały.

Wszystkie pół siedzące, pół klęczące na pryczach, trzymały Różańce z chleba, schowane i wtłoczone ciasno wraz z dłońmi w fałdy spódnicy, albo w rękawy...

...błogosławionaś Ty między niewiastami...

Korytarz rozbrzmiewał uderzeniami bezsilnych w pasji, poranionych dłoni...

...i błogosławion Owoc żywota Twego...

Śmieli się ci dyżurni, śmieli do rozpuku. A czasem któryś krzyknął, by grozić i może nastraszyć...

...Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi...

Nie! tego przecież nie można wytrzymać!

— — — — — — — —

Tajemnica Trzecia Różańca. Cierniem Koronowanie.

— Na intencję tego polskiego pułkownika na szóstce...

A potem ta przedostatnia, zanim Chwała rozmodli się radością...

...drogą, którą wiały się welony brzóz poszarzałych, błockiem pełnym bajór i liści opadłych, tam, w mgłę wchłaniającą, ukosem do wiatru i smagów deszczu, szli boso, pół odziani, czasem w płaszcz swój wojacki zatuleni —oficerowie polscy, których w lata odnaleźć już nie można...

Chrystus Jasny, jak z mgły światłem nasiąkły, stanął na rozdrożu. Koronę cierniową miał na głowie, jak i On białą. Stanął i patrzył smutnie. To w jedną to w drugą stronę. Potem dojrzał Krzyż na ziemi leżący, w drodze na Południe porzucony... Podjął ten Krzyż, na ramiona sobie zaciągnął, zadumał się Chrystus i poszedł wolno, za tymi w mgle deszczowej znikającymi.

Bo tylko Chrystus jeden był im wtenczas Szymonem Cyrenejczykiem...

...ktoryś za nas Krzyż na Golgotę dźwigał...

Ojcze nasz...

...Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz...

...i w godziny męki naszej wspólnej...

— — — — — — — —

KAMILA LELIWA

POLSKIE PAMIĄTKI RELIGIJNE
W MUZEUM BANKNOCK

W bogatych zbiorach ośrodka muzealnego Instytutu Historycznego im. Gen. Władysława Sikorskiego w Banknock w Szkocji pokaźne miejsce zajmują przeróżne pamiątki o charakterze religijnym, pozostałe po tułaczej wędrówce żołnierza polskiego po świecie.

Spośród pamiątek tych na pierwsze miejsce wysuwają się te, które dziwnymi kolejami losu przywędrowały na ziemię brytyjską z dalekich tajg sybirskich, z łagrów i więzień sowieckich.

Po upadku powstania 1863 roku zesłańcy na Sybir zabierali ze sobą przedmioty kultu religijnego jako najdroższe pamiątki.

Drogą tą zawędrowała na daleką północ stuła wyszywana na kanwie, wywieziona prawdopodobnie przez zesłańca - księdza polskiego. Stuła ta przekazana została skolei znajdującym się na Sybirze katolikom - Niemcom, których spadkobiercy przechowywali ją do czasu, kiedy los zdarzył, iż zetknęli się z księdzem Polakiem i wręczyli mu ją po zawarciu porozumienia polsko-sowieckiego w roku 1941.

Ksiądz ten wraz z całą rzeszą naszych rodaków przybył przez Persję na Środkowy Wschód, odprawiał w tej stule nabożeństwa, poczym złożył ją jako pamiątkę w Muzeum Armii Polskiej na Wschodzie.

Podobną historię posiada krucyfiks artystycznej roboty nieznanego artysty-rzeźbiarza z kości słoniowej, wywieziony przez powstańca po roku 1863.

Potomkowie owego zesłańca, nie mając możności opuszczenia Syberii, przekazali krucyfiks przypadkowo spotkanemu w 1941 roku oficerowi polskiemu z prośbą, aby go Wojsko Polskie zabrało do Kraju.

Spośród wielkiej liczby obrazów świętych z ołtarzy polowych pewna ich ilość została w różnych okresach czasu przekazana do muzeów i znajduje się obecnie w Banknock.

Dużą wartość pamiątkową stanowią liczne aparaty kościelne (ornaty, stuły itp), prymitywnie wykonane z materiału, zbieranego dorażnie wśród zesłańców, zwolnionych z łagrów i więzień sowieckich.

Ks. prob. Fr. Tyczkowski ofiarował we Włoszech dla Muzeum Wojska jedyną w swoim rodzaju pamiątkę — formę do wypiekania opłatków do komunikantów, wykonaną przez żołnierza 6-ej Dyw. Piechoty w Rosji w niezwykle trudnych warunkach bez odpowiednich narzędzi. Obsługiwała ona całe Wojsko Polskie w ZSSR i służyła jeszcze później Armii naszej na Wschodzie, po przejściu oddziałów do Iraku, a następnie do Palestyny.

Olbrzymią ilość pamiątek muzealnych przedstawiają drobne przedmioty kultu religijnego, często pomysłowe, o artystycznej wartości w postaci krzyżyków, medalioników, rzeźb przeróżnego rodzaju, różańców, ryngrafów itp., wykonane w nieprawdopodobnie trudnych warunkach, częstokroć potajemnie w więzieniach, czy też obozach sowieckich.

Na specjalną uwagę zasługuje znajdujący się w Muzeum w Banknock obraz — tryptyk, wykonany w drzewie, przedstawiający Matkę Boską Ostrobramską, dzieło ppor. T. Zielińskiego z 17 p.p.

Przed ołtarzem tym ówczesny Naczelny Wódz gen. Wł. Sikorski złożył w dniu 12 grudnia 1941 roku w kaplicy 17 p. p. w Tockoje w ZSSR następujące ślubowanie:

„Bóg patrzy w moje serce. Widzi i zna moje intencje oraz zamiary, które są czyste i rzetelne. Jedynym moim celem jest Wolna, Sprawiedliwa i Wielka Polska. Ku tej Polsce was prowadzę i z Bożą pomocą doprowadzę".

* * *

Przedmioty kultu religijnego, których cząstka zaledwie przedostała się do ośrodka muzealnego w Banknock, dają dobitne świadectwo głębokiej religijności żołnierza polskiego - tułacza, który, czy to w beznadziejności swego położenia, czy też w chwili radości z odzyskania wolności — myśl swą zawsze kierował do Boga.

ARMIA Polska na Wschodzie wzbogaciła zbiory naukowe Polskiej Akademii Umiejętności w w Krakowie

Mało kto wie o tym, że zainteresowania Muzeum Wojska Polskiego na Wschodzie nie ograniczały się tylko do zbiorów o charakterze ściśle wojskowym, ale objęły również szeroko i inne dziedziny.

Wśród nich pod względem wartości naukowej wybijają się zbiory: entomologiczny, paleontologiczny, ornitologiczny, archeologiczny, numizmatyczny, etnograficzny i botaniczny.

Łącznie z niezwykle bogatą literaturą na powyższe tematy te cenne zbiory ofiarowane zostały Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, wzbogacając naukę polską i udostępnione siłom naukowym oraz młodzieży studiującej.

Miałem niedawno możność dokładnego przejrzenia w polskim ośrodku muzealnym w Banknock w Szkocji materiałów, odnoszących się do prac muzealnych Armii Polskiej na Wschodzie, które odzwierciedlają rezultaty, osiągnięte w dziedzinie naukowej przez to muzeum.

Jednocześnie miałem możność stwierdzenia, że kontakty naukowe Muzeum Armii Polskiej z szeregiem instytucji naukowych na Środkowym Wschodzie — a szczególnie w Kairze — wypełniły lukę w tych kontaktach, powstałą w polskim świecie naukowym na skutek działań wojennych i dały impuls do nawiązania ich ponownie w dobie dzisiejszej, co ilustruje wybitnie korespondencja między naukowcami polskimi a reprezentantami nauki na Środkowym Wschodzie.

Korespondencja ta, częściwo w odpisach, znajduje się w Banknock, nadsyłana od adresatów na Wschodzie, z którymi polski ośrodek muzealny utrzymuje nadal żywe stosunki.

Co się tyczy zbiorów o charakterze wojskowym, to po zakończeniu wojny zbiory ze Środkowego Wschodu, uzupełnione bogatymi kolekcjami z terenu Włoch, zostały przywiezione do Wielkiej Brytanii i tu połączone z Muzeum i Korpusu, Lotnictwa i Marynarki Wojennej, stanowiące pokaźny majątek obecnego ośrodka muzealnego Instytutu Historycznego im. Gen. Wł. Sikorskiego w Banknock.

W. Kopaszyna

KRONIKA

ŚMIERĆ HANKI ORDONÓWNY — NOWA SZTUKA SHAWA — NAGRODY LITERACKIE

BEJRUT, LIBAN (IC). W dniu 8 września br. zmarła w Libanie, w miejscowości Araya obok Bejrutu, Maria-Anna Tyszkiewiczowa, znana artystka Hanka Ordonówna. Wywieziona z Polski przez bolszewików do Sowietów zachorowała na gruźlicę i mimo troskliwej opieki, po 8 latach ciężkich zmagań z chorobą — uległa jej.

Pamiętamy wspaniałą karierę artystyczną Hanki Ordonowny w Polsce, nie wszyscy wiedzą jednak, że opuściwszy Związek Sowiecki poświęciła ona wszystkie swoje wysiłki opiece nad dziećmi polskimi na terenie Indii, a następnie, już ciężko chora, w Palestynie występowała przez szereg miesięcy w teatrach żołnierskich przebywającej tam Armii Polskiej. Gdy choroba uniemożliwiła jej dalsze występy, artystka — dając dowód swojego wspaniałego i wszechstronnego talentu — pisała, komponowała i malowała do ostatnich dni swego życia. W okresie tym wydała ona pod pseudonimem Weronika Hort wzruszającą książkę pt. „Tułacze dzieci" oraz przygotowała jeszcze dwie, z których niemal zakończyła „Zamki na lodzie", kreślące dzieje uchodźstwa polskiego w Libanie. Napisała ona i wydała zbiór pięknych pieśni żołnierskich, które wielokrotnie w Libanie wykonywane były przez chóry młodzieży. Poświęciła też prezydentowi Libanu Szeikowi Bechara El Khoury — marsz — na orkiestrę wojskową pt. „Marsz wdzięczności". Wreszcie namalowała około 100 płócien, z których większość zyskała wielkie uznanie krytyki i publiczności na urządzonej wystawie malarzy polskich w Libanie. W uznaniu zasług dla sztuki śp. Hanki Ordon-Tyszkiewiczowej Prezydent Libanu odznaczył ją Oficerskim Medalem Zasługi.

Zmarła cieszyła się dużą popularnością wśród uchodźstwa polskiego w Libanie, będąc osobą bardzo dobrego serca i manifestując gorący patriotyzm. Sztuka polska straciła w osobie Hanki Ordon-Tyszkiewiczowej jedną z najwybitniejszych artystek. Została ona pochowana na cmentarzu polskim w Bejrucie — przy tłumnym udziale przyjaciół polskich i obcych.

* * *

Założony przed rokiem w Londynie awangardowy Watergate Theatre wystawił w ubiegłym tygodniu nową komedię Bernarda Shaw p.t. „Farfetched Fables". Jest to właściwie seria sześciu krótkich skeczów, których akcja rozgrywa się „dzisiaj lub może jutro", jak mówi sam autor.

Nowy utwór nie ma już może tej dynamicznej siły, jaką posiadały dawniejsze sztuki Shaw'a, lecz znać w nim zawsze potężny lwi pazur, ostrość dowcipu i przenikliwość spojrzenia w przyszłość, za którą ledwo nadąża swymi młodymi siłami awangardowy teatrzyk.

Fantastyczne kostiumy do przedstawienia i dekoracje (częściowo wyświetlane na ekranie w tyle sceny) projektował Feliks Topolski. Zdobyły one przychylną ocenę krytyki angielskiej.

Bernard Shaw ma obecnie 94 lata i właśnie powrócił „cudownie" do zdrowia po złamaniu kości lędźwiowej. Przed wojną niektóre swoje sztuki wystawiał w Warszawie, poprzedzając premiery londyńskie.

* * *

NAGRODY PISARSKIE POLSKICH ODDZIAŁÓW WARTOWNICZYCH

Polskie Oddziały Wartownicze przy Armii Amerykańskiej w Europie na zjeździe oficerów łącznikowych i dowódców w Mannheim 24-26 maja br., dla upamiętnienia 5 rocznicy swego istnienia, postanowiły ustanowić z Funduszu Społecznego O. W., w porozumieniu z zarządem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, trzy nagrody pisarskie:

1. za całokształt działalności pisarsskiej (£ 100),
2. dla młodego pisarza (£50),
3. za utwór (dzieło), dający najgłębszy wyraz przeżyciom zbiorowym polskim w latach 1939 — 1945 (£ 50).

W skład jury wchodzą, pod przewodnictwem prof. Stanisława Strońskiego, przewodniczącego Związku Pis. Pol. na Ob., pp: ppłk. Antoni Bogusławski, mgr. Ludwik Bojczuk, ppłk. Juliusz Filipkowski, dr Tymon Terlecki.

Jury zbierze się pod koniec października 1950, a ogłoszenie wyniku i wręczenie nagród odbędzie się w Londynie 11 listopada 1950.

Zarząd Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie (312 Finchley Rd., London, N. W. 3) podaje to do wiadomości w porozumieniu z Polskimi Oddziałami Wartowniczymi.

CIOSY I UNIKI

„Gazeta Literacka" przyjęta została zupełnym milczeniem. W żadnym piśmie nie wywołała najmniejszej wzmianki — poza kilku przedrukami w prasie polonijnej w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, oczywiście bez podania źródła artykułów, co się już utarło wybaczać ubogim braciom zza oceanu.

W listach dwu duszpasterzy wyrażono niezadowolenie z powodu pojawienia się „Gazety Literackiej". „Poco bowiem ludziom wiedzieć, — argumentują oni — kto to był Bernanos albo Kartezjusz?"

A no, w górę serca, w dół umysły!

— — — — — — — —

W smutnym żywocie emigracyjnej prasy istnieje przecież trochę gier i zabaw. Do najulubieńszych należy zabawa ze starosłowiańska nazywana „blinde Kuh" a nie co mniej poprawnie po polsku „ciuciu-babka". Polega zaś na tym, że czasopisma wzajemnie się absolutnie nie dostrzegają i stanowczo nie wiedzą nigdy, o czym drugie pisma piszą. Czytuje się jedynie tylko takie artykuły, które są wyraźnymi zaczepkami.

„Lwów i Wilno" wprowadzając na swe łamy stały tygodniowy felieton o Świętych Pańskich, tak kończy piękne rozważania pierwszego: „Lwów i Wilno" jest więc jak dotąd pierwszym i w ogóle jedynym pismem polskim dla inteligencji, nie wyłączając pism „profesjonalnie" katolickich, które (z inicjatywy swego redaktora) taki dział wprowadza".

Ponieważ „Gazeta Niedzielna" dział taki wprowadziła blisko rok temu, pozostaje tylko kwestia, czy jest ona pismem dla inteligencji. Otóż przyjmując, że wszyscy czytelnicy „Lwowa i Wilna" są wyłącznie inteligentami i tak skłonni jesteśmy twierdzić, że „Gazetę Niedzielną" czyta ich więcej.

— — — — — — — —

„Profesjonalnie" katolicką oczywiście „Gazeta Niedzielna" ani „Gazeta Literacka" nie są. Wprawdzie Wacław Zbyszewski w doskonałym a wyjątkowo bystrym i sprawiedliwym felietonie o „Syberii obozowej w Anglii", zamieszczonym we wrześniowym zeszycie „Kultury" podaje informację, że drugim co do poczytności pismem polskim w Anglii jest „Gazeta Niedzielna" — „dzięki propagandzie księży", ale z tą propagandą bywa tak i siak.

„Gazety Niedzielnej" i „Literackiej" nie redagują księża i nie wydają czynniki hierarchiczne, aczkolwiek oba te pisma starają się pilnować prawomyślności katolickiej w rzeczach wiary i obyczajów i zawsze poddadzą się wszelkim nakazom Kościoła.

Ta niezależność niektórych naszych przyjaciół gorszy, są jednak i argumenty przeciwne. N. p. Anglicy posiadają nieliczną ale świetną prasę katolicką. Cztery jej czołowe tygodniki: „The Tablet", „The Catholic Times", „The Universe" i „The Catholic Herald" — wszystkie posiadają redakcje świeckie. Mało, że posiadają. Wszystkie zostały uratowane z upadku przez redakcje świeckie po nieudanych wysiłkach redakcyjnych duchowieństwa. „Universe" powstał pod hasłem katolicyzmu świeckiego. Anglicy nie tają, że Kościół katolicki zawdzięcza swe odrodzenie w dużym stopniu katolikom świeckim i ich apostolstwu.

— — — — — — — —

Istnieje polskie przysłowie, określające nieoczekiwany postępek — upadkiem z pewnego domowego zwierzęcia. Otóż z byka spadł ostatnio Mieczysław Grydzewski, jeden z najwybornieszych humanistów polskich naszej epoki, któremu najniespodziewaniej strzelił do głowy koncept, aby własnymi rękami uwić dla siebie we własnym organie laurkę z racji przyznania redaktorowi nagrody literackiej „Dziennika Polskiego". W ten sposób redaktor dał wyraz entuzjazmowi swych współpracowników, wyrażonemu w listach prywatnych.

— — — — — — — —

W „Lwowie i Wilnie" zatroszczyła się w liście do redakcji jakaś pani (o pięknym polskim nazwisku, które uszło z naszej pamięci) o wydajność pisarzy polskich, których jest na emigracji około 200 i „którym podobno nawet kupiono dom".

Dom kupiono rzeczywiście, tyle tylko, że nie pisarzom, a Związkowi Pisarzy. Pisarze w nim mieszkający (15 osób w 9 pokoikach) płacą po blisko 9 funtów miesięcznie za pokoik.

Co robią? Lokatorzy Domu Pisarza posiadają w chwili obecnej następujące zawody: administrator domu (housekeeper), urzędnik, redaktor, akwizytor ogłoszeń, robotnik w fabryce lodów, robotnik w stalowni, kitchen - porter (podkuchenny).

Inni pisarze mają zawody podobne. Pytają oni nieraz społeczeństwo polskie w Anglii, którego jest około 160 tysięcy dusz, co robi ono z kulturą polską, zwłaszcza że conajmniej dziesiąta jego część posiada własne domy. Naprawdę własne.

— — — — — — — —

Ciekawa ankieta „Dziennika Polskiego" na temat budżetów samotnych Polaków i rodzin polskich w Anglii rzuca jasne światło na emigrancką troskę o kulturę.

Coprawda ankieta zbudowana jest dość osobliwie. Jedną jej pozycję stanowią w jednej „kino, teatr, sport i in. rozrywki, włącznie z hazardem", drugą zaś „gazety, papier, telefony, żyletki, strzyżenie włosów itp." W tych pytaniach zatem można się domyśleć wydatków na książki i czasopisma, o ile ktoś nie gra na poolu lub pieskach, względnie o ile się nie strzyże lub nie używa żyletek, papieru itp.

Ale do rzeczy. Więc wydatki ankietowiczów na kulturę kształtują się następująco: pierwszy — nic, drugi — nic, trzeci — nic, czwarty — 5 sh. tygodniowo, piąty — 4/6 (przy zarobku 8 £) szósty — nic, siódmy — nic, ósmy — 15 sh., dziewiąty — 5 sh. (małżeństwo zarabiające obopólnie), dziewiąty — 7/6 (rodzina zarabiająca 10 £ tygodniowo), jedenasty — 7 sh. (przy równoczesnej oszczędności 4 £ tygodniowo). P. K. zarabia 700 £ rocznie. Skończył uniwersytet brytyjski. Na „książki" wydaje tygodniowo aż 4 szylingi!

Ci ludzie i jaskiniowcy palą, piją, hazardują się, kupują domy, meble, strzygą włosy, ba, nawet oszczędzają spore sumy! Nie używają tylko takich artykułów: książki, czasopisma, teatru, wystawy, koncertu i innych luksusów kultury.

To co na cele powyższe wydają, nie przekracza wysokości jałmużny.

Kultura polska na emigracji żyje z jałmużny.

J. B.